OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ

GAZETKA MIKI

ROK I. NR 9
DNIA 12 LUTEGO 1939

TYGODNIK

CENA 40 GROSZY



DOBRY POMYSŁ MIAŁ HORACY—ZAPRZĄGŁ WSZYSTKICH NAS DO PRACY.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

PĘDZIWIATR



Bankier nie odpowiedział ani słowa i zaczął oglądać Staszka od stóp do głów. Potem chciał wziąć pieniądz do ręki, lecz Staszek pokazał mu go tylko z daleka.

— Od kogo panicz ma ten pieniądz?

— Od jaskółki!

— Od jaskółki? Wus yst jaskółka? Skąd jaskółka może rozdawać złote pieniądzę? Czy ona tyle zarabia?

Staszek nie miał ochoty opowiadać całej historii, spytał więc ostro, czy kupiec chce zmienić pieniądz. Bo jeśli nie, Staszek pójdzie zaraz do innego. Jest tu ich tylu i z pocałowaniem ręki zrobią to, czego chce Staszek. Kupiec zmiękł, zażądał jednak, aby Staszek koniecznie dał mu pieniądz do ręki.

— To nie jest prawdziwe złoto...

— Nie? W takim razie idę do innego!

— Zaraz, zaraz! Dlaczego kawaler taki gorący? Przecie nie pali się! No, mogę dać najwyżej dwa funty...

— Mało! — mruknął Staszek, choć nie wiedział, co znaczy w tym wypadku »funt«, pamiętał jednak, że ciotka targowała się przy każdej okoliczności, nawet kupując pudełko zapałek.

— Co jest »mało«? Jakto mało? Dwa funty! Za taki mały pieniądżek? Niech panicz idzie sobie gdzie indziej, to zobaczy, że inni dadzą jeszcze mniej!

Staszek odebrał pieniądz i już skierował się ku sąsiedniemu stolikowi, ale kupiec zatrzymał go. Ostatecznie, może dać dwa i pół funta i to już z własną stratą. Staszek jednak nie chciał zgodzić się i wreszcie stanęło na trzech i pół funtach.

— A co kawaler zrobi z taką masą pieniędzy? Przecie jeden funt palestyński, to więcej niż dwadzieścia złotych!

— Ja tam już wiem, co zrobię z tymi funtami! — hardo odparł Staszek.

Rzeczywiście, Staszek wiedział, co ma zrobić z pieniędzmi. Przecież dwa kroki stąd był sklep z chałwą, tuż obok niego drugi, w którym sprzedawano bułki i ciastka. Nie dalej zaś jak o sto metrów był placyk, a na tym placyku stał słup, a do słupka był przywiązany osiołek.

Ten sam osiołek, któremu Staszek przyrzekł odwdzięczyć się za ratunek.

Figi i makagigi

Osiołek zjadł pierwszą bułkę z ogromnym apetytem, podobnie i drugą, przy trzeciej jednakże zaczął kręcić uszyma tak, że Staszek zdziwił się bardzo.

— Taka dobra bułka! Świeżuteńka! Jedz! Bardzo cię proszę!

Osioł zaryczał, oświadczając stanowczo, że ma dość. Nie jest głodny.

— W takim razie może banana? Patrz, jaki ładny! No, spróbuj!

Na banana zgodził się osiołek, nawet zjadł cztery z apetytem, ale już przy piątym potrząsnął głową, bardzo stanowczo dziękując za wszystko. Żeby mu Staszek nie wiem co dawał, jeść nie będzie! Wykluczone!

— Szkoda — rzekł! Staszek, zasmucony bardzo. Poklepał osiołka po szyi, zapowiedział, że jutro rano przyjdzie na to samo miejsce, i rozstali się. — Do jutra! Serwus! — rzucił jeszcze na pożegnanie.

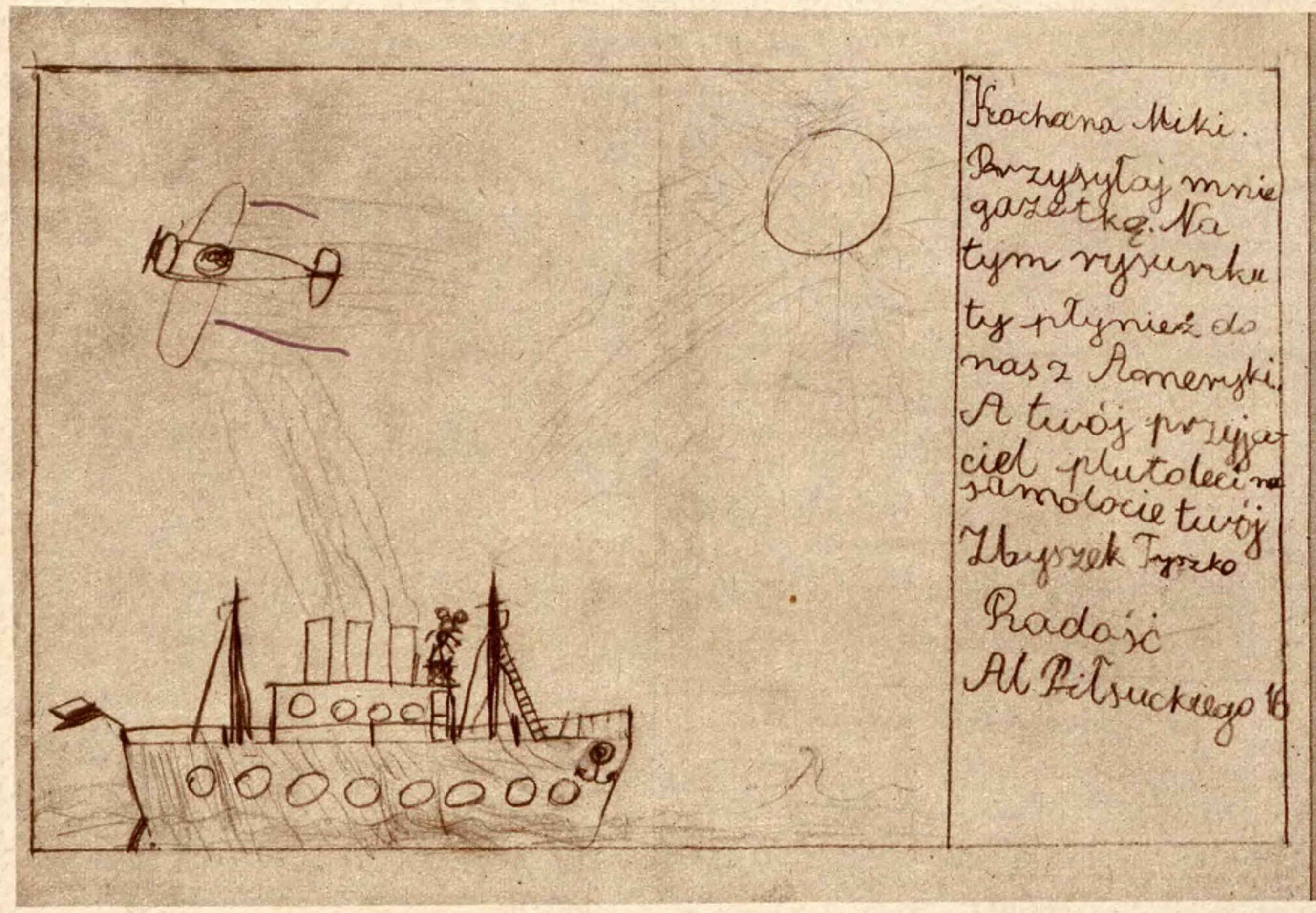
Osiołek został na placyku, Staszek zaś dał nurka w miasto, w jego uliczki, przede wszystkim w bazary. Były to rzędy sklepów, kramów i warsztatów po obu stronach długiej ulicy. Szewcy robili tam piękne, haftowane złotem i srebrem, pantofle, kowale kuli misterne ozdoby, misy, dzbany, obok znowuż siedzieli w kucki krawcy, kuśnierze i rozmaici rzemieślnicy. Staszek jednak nie miał czasu na to, aby przyjrzeć się wszystkiemu, pędził bowiem do sklepów z owocami, głównie do kramów z chałwą.

Kupował na migi. Wskazał więc duży kawałek chałwy i zapłacił srebrnym pieniądzem. Zdziwił się ogromnie, gdy stary Arab wydał mu resztę. Taka tania ta chałwa? No, to trzeba kupić więcej, bo jutro gotowa być droższa. Znowuż wskazał kawałek, jeszcze większy niż poprzednio. Tanie okazały się jednak przedewszystkim pomarańcze i to pomarańcze tak wielkie, że podobnych Staszek nigdy w życiu nie widział. Były wielkie jak dynie, kupił więc tuzin i zapłacił wszystkiego kilka miedziaków. O daktylach szkoda gadać! Leżały wprost na ulicy w zbitych stertach, prasowane tak, jak siano albo słoma dla wojska.

(d. c. n.)







Kochani Przyjaciele!

Pewnie bardzo Wam się podoba w dzisiejszym numerze naszej „Gazetki" historyjka Pana Juliana Tuwima o Maluśkiewiczu i wielorybie? Czyż możecie się więc dziwić, że odstąpiłam wielorybowi swój zwykły kącik i znów wprowadziłam się na chwilę obok Waszych rysunków?

W następnym numerze także spotka Was nowa niespodzianka. Namyślam się właśnie, czy powiedzieć Wam jaka, czy nie?

E, chyba powiem. Ale tylko tyle, że szukać jej należy na stronie szóstej.

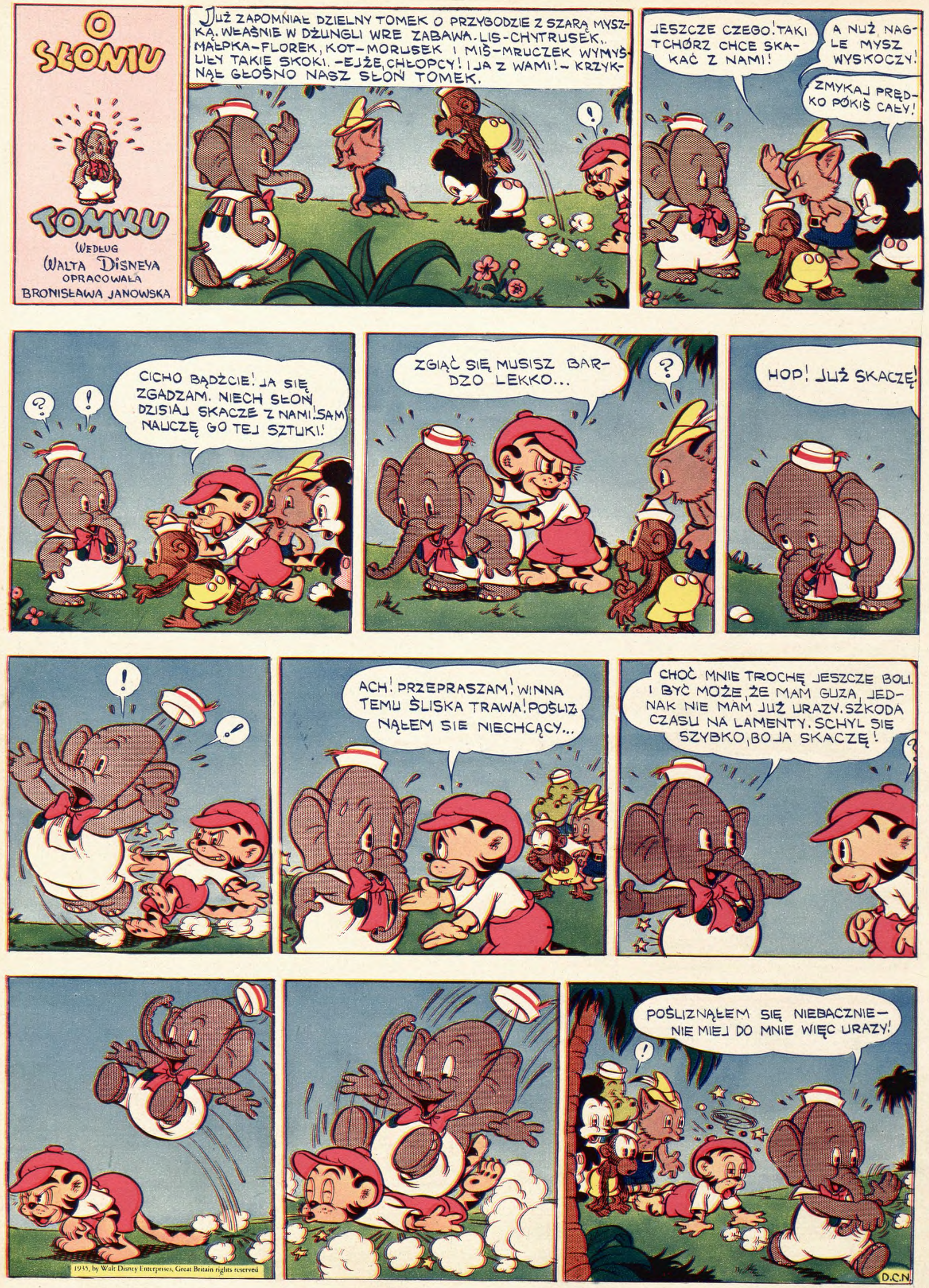
A teraz porozmawiajmy sobie o Waszych, tak zawsze miłych, listach. Jest znów wielka paczka rysunków i dużo dowodów, że nasi czytelnicy, to mądre główki. Nie ma bowiem ani jednej zagadki, czy szarady, której by nie potrafili rozwiązać. Horacy Chomąto radził mi nawet, żebym mu powierzył ten dział w naszej „Gazetce". Tylko, czy na pewno można tę pracę powierzyć koniowi? To prawda, że ma dużą głowę...

Otóż Nina Podolecka przysłała rysunek, na którym jest cała moja rodzina na łyżwach. Nawet Pluto ma cztery łyżwy, po jednej na każdej łapie. Siostry Piwnickie przysłały śliczne słonie i żyrafę z taką długą, długą szyją. Zamieścimy Waszą pracę niedługo. Tak samo jak i rysunek A. Halperina. Udały się też autobusy Stefkowi Ciekońskiemu. Podobała się również wszystkim strażnica na pograniczu, naszego stałego korespondenta, Zbyszka Ślesickiego.

Tyle na dzisiaj od Waszej Myszki.

»Gazetka Miki« ukazuje się co czwartek





O dzielnym brytanie i chytrym Kaczorku



— Jakże piękne są te czerwone jabłka! Tylko i brytan jest widocznie tego samego zdania... — powiedział sobie Kaczorek.



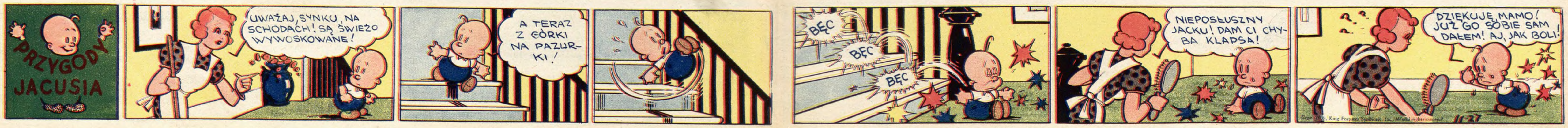
— Szczekaj, brysiu, szczekaj! Trochę tu ciasno w tym domku, ale jabłka! Miam... mniam... pyszności!



— Hau! Wrau! Co się dzieje? To skrzynka kradnie moje owoce! Ha! Ja ci dam! Teraz już nic nie zginie!







JULJAN · TUWIM

PAN MALUŚKIEWICZ I WIELORYB



IL. J. M. SZANCER.

Był sobie pan Maluśkiewicz
Najmniejszy na świecie chyba,
Wszystko już poznał i widział,
Z wyjątkiem wieloryba.

Pan Maluśkiewicz był — tyci,
Tyciuśki, jak ziarnko kawy,
A oprócz tego podróżnik,
A oprócz tego ciekawy.

Więc nie można się dziwić,
Że ujrzeć chciał wieloryba,
Bo wieloryb jest przeogromny!
Największy na świecie chyba!

Pan Maluśkiewicz jest wesół,
Bo mu się podróż uśmiecha,
I najpierw sobie zrobił
Łódkę z łupinki orzecha.

Ażeby miękko mu było,
Dno łódki watą posłał,
Potem z jednej zapałki,
Wystrugał cztery wiosła.

Zabrał worek z jedzeniem,
Namiot i wina beczkę,
Rower i różne narzędzia —
— Wszystko na tę łódeczkę;

Gramofon, radio, armatę,
Strzelbę, nabojów skrzynkę,
Futro, ubrania, bieliznę —
— Wszystko na tę łupinkę.

Bo wszystko było malusie,
Tyciuchne, tyciutyneczkie,
Jeżeli pan Maluśkiewicz,
Był tyciuteńkim człowieczkiem.

Wziął łódeczkę pod pachę,
Wsiadł w samolot motyli
I powiedział: „Do Gdyni!"
Po godzinie — już byli.

Zameldował się w porcie
U pana kapitana:
— Czy jest miejsce na morzu?
— Wystarczy, proszę pana!

Więc się pan Maluśkiewicz
Zaraz puścił na fale,
Płynie sobie i płynie
Coraz dalej i dalej.

Morze ciche, spokojne
I gładziutkie jak szyba,
Ale jakoś nie widać,
Nie widać wieloryba.

Wiosłuje jednym wiosłem,
Dwoma, trzema, czterema,
Już dwa tygodnie płynie,
A wieloryba nie ma.

Woła: „Cip-cip, wielorybku!
Gdzie ty jesteś, rybeńko?
Pokaż mi się choć tycio,
Tyciutko, tyciuteńko!"

Już dwa miesiące płynie,
A wieloryba nie ma,
Aż się zmęczył biedaczek
I coraz częściej drzemał.

O, z jaką by się rozkoszą
Na lądzie wreszcie wyspał!
Aż któregoś dnia patrzy,
A przed nim jakaś wyspa.

Wziął łódeczkę pod pachę,
Wszedł na wyspę bezludną.
Odpocznę, myśli, i wrócę,
Jak go nie ma — to trudno.

Pojeździł sobie po wyspie
Rowerem na wszystkie strony,
Trzy dni był w tej podróży
I wrócił bardzo zmęczony.

Nastawił sobie gramofon,
Popił, potańczył, pośpiewał,
Zabił komara z armaty —
I chce spać, bo już ziewał.

Trzeba namiot ustawić.
Zabiera się do dzieła,
wbija gwoździe do ziemi —
Nagle — wyspa kichnęła!

Kichnęła i ryknęła:
„A to znów sprawka czyja?
„Jaki to śmiałek — gwoździe
„W nos wieloryba wbija?"

—Wieloryb?—(pan Maluśkiewicz
Tak się na cały głos drze).
„Nie wieloryb, ty durniu,
„Lecz jego lewe nozdrze.

„Pod wodą jestem! Rozumiesz?
„Ciesz się, żeś cało uszedł!" —
— „A wyspa?" — „Jaka wyspa?
„To mego nosa koniuszek".

Zatrząsł się pan Maluśkiewicz!
— „Kto mnie tam znowu łechce?"
— „Nie łechcę, tylko się trzęsę
„I już cię widzieć nie chcę!"

Wziął łupinkę pod pachę,
Zaraz do morza się rzucił,
Szybko popłynął do Gdyni
I do Warszawy wrócił.

Chodzi, nosa zadziera
I wszystkim od tej pory
Przepięknie opowiada,
Jak wygląda wieloryb.



GUSTAW MORCINEK

ZA OLZĄ

PŁYNIE OLZA PO DOLINIE...

Od tygodnia Karol Bogacz przebywał w obozie harcerskim nad Olzą w Bystrzycy. Sam nie wie, jakim cudem tam się dostał. Siedzi teraz nad rzeką, patrzy w wodę i myśli. Po drugiej stronie rzeki bieli się obóz harcerek śląskich. Wiodą się za ręce w jakimś powolnym tanecznym kole i śpiewają:

Płyniesz Olzo, po dolinie,
Płyniesz jak przed laty...

Smętna łagodna melodia dziwnie splata się z łagodnym szumem rzeki, o której tamte dziewczyny śpiewają. Woda cieknie po szarym, skalistym dnie, przelewa się z bełkotem, szumi ścicha, pieni się, a gdy dobiegnie nad głębiny, ciemnieje i zatacza wielkie koła. Letnie słońce kąpie się w Olzie i przesyca ją płynnym złotem. Naokoło pachnie siano i macierzanka. Popołudniowa cisza usypia wszystkie Karolowe myśli.

Karol Bogacz myśli o swych ostatnich przeżyciach. Dziwi się, jak to się stało, że znalazł słodki przytułek w harcerskim obozie nad Olzą. Wszystko to takie zawiłe, a jednak jak bardzo proste.

Zaczęło się od pogrzebu Sobola.

Nazajutrz oświadczył sztygarowi w kopalni, że występuje z czeskiego »Sokoła«. A dlaczego? Bo jest Polakiem! Sztygar wykrzywił usta w cierpkim uśmiechu i tylko mruknął po czesku:

— Rób jak chcesz!... Powiadam ci, że jeżeli jesz czeski chleb, to powinieneś trzymać z Czechami... Rób jak chcesz!... Tylko żebyś nie żałował! To ci mówię!... — i poszedł kołysząc błyszczącą lampą. Karol Bogacz patrzył za nim tak długo, aż jego światło zniknęło za zakrętem w ganku.

— I co teraz? — pomyślał z lekką trwogą. Przypomniał sobie jednak, że w kieszeni marynarki na piersiach ma fotografię Marszałka. A przecież Sobol mówił, że Śląsk doczeka się swobody... Trzeba tylko czekać i wierzyć!...

— Nic mi nie zrobi! — mruknął uspokojony i poszedł do swojej pracy.

Na drugi dzień przyszedł sztygar i przeznaczył go do najgorszej pracy w piętnastym pokładzie. Kazał mu wywozić węgle ze stromego upadu. Woda ciekła ze stropu strugami, stopy ślizgały się w czarnym błocie, a kiedy Karol pchał przed sobą taczkę wypełnioną węglem, czepiał się dłońmi stempli. Taczka wisiała na parcianych pasach przerzuconych przez ramiona i spychała go do upadu. Każdy krok kosztował go wiele wysiłku. Grzbiet jego wyginał się w kabłąk, zdławione piersi z trudem łapały duszne powietrze, pot zalewał mu oczy, a siły jego wiotczały coraz bardziej. Taczki nie mógł postawić, nie mógł spocząć, bo inaczej ciężar jej byłby go zepchnął z powrotem do upadu.

Po skończonej szychcie był tak bardzo wyczerpany, że kiedy legł na rumowisko w chodniku, widział się podobnym do brudnej szmaty wyżętej, ciśniętej z pogardą na śmietnik. A kiedy obliczał w obolałych myślach swój całodzienny zarobek, z przerażeniem dochodził do wyniku, że zarobek jego jest o połowę niższy od wczorajszego.

Na drugi dzień było jeszcze gorzej. Nogi dygotały pod nim, w oczach przemykały wielkie świetliste koła, a krew tętniła w uszach jakby ktoś metalowymi młotkami stukał w jego skronie.

Podczas trzeciej szychty już nie podołał pracy. Zwalił się pod ciężarem taczki, a taczka porwała go z sobą do upadu i przygniotła boleśnie do złomów węgla. Nie miał siły, by powstać. Zacisnął tylko zęby, by nie skomlić z bólu. Przyszedł sztygar i pomógł mu się podnieść.

— No i co? — zapytał w końcu.

— Nic, panie sztygar!... Ja tu nie potrafię robić!... Jestem za słaby.

— Ha, jak ci się nie podoba, to możesz sobie pójść... Do Polski!... Albo niech ci polski konsul da pracę!... My mamy pracę tylko dla swoich ludzi...

Nazajutrz został wydalony z pracy. Kiedy stanął za bramą kopalni, czuł znowu napływające łzy. Gnębiło go poczucie doznanej krzywdy, gnębiło poczucie bezsilności wobec takiego sztygara Czecha... Zacisnął pięści, zacisnął zęby i wycedził z nienawiścią:

— Poczekajcie!... Doczekamy się chłopców Marszałka Piłsudskiego!...

Nacisnął czapkę na oczy i poszedł.

Włóczył się teraz bezczynnie po całej okolicy, zachodził często do różnych kopalni, prosił o pracę, lecz wszędzie go odprawiano z uwagą, że praca jest tylko dla Czechów. I również często spotykał się ze złośliwą radą, by jej szukał w Polsce.

— Ale przecież ja jestem stąd, ze Śląska! — krzyczał.



— Nic nas to nie obchodzi! My mamy pracę tylko dla Czechów, a tyś Polak, więc marsz do Polski albo do polskiego konsula!... Niech ci on da pracę!... Marsz stąd, bo psami wyszczuję!...

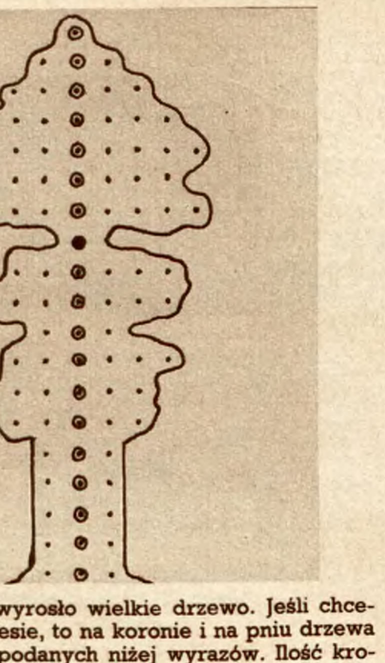
W domu była znowu nędza. Ojciec pracował tylko przez dwie szychty w tygodniu, matka i siostra wciąż chorowały, a tamten drobiazg pod stołem znowu płakał i domagał się chleba. Karol postanowił przeto zbierać odpadki węgla na hałdzie, sprzedawać je i z tego mizernego zarobku utrzymywać siebie i rodzeństwo.

Mizerny to był zarobek, Boże się pożal!... Hałda paliła się ukrytym żarem, od podnóża aż do połowy stoku, sine tumany czadu przewalały się po niej i dławiły Karola oraz jego towarzyszy, przyprawiały o ból głowy, o dotkliwe łupanie w potylicy, a gdy następowały mdłości, Karol schodził w dolinę i wymiotował. Było to zwykłe zatrucie czadem. Często poparzył sobie stopy, jeżeli nieostrożnie wkroczył na obszar objęty żarem. Lecz zarobek był, aczkolwiek żebraczy.

(d. c. n.)

ZAGADKI · FIGLIKI · WYMYŚLIŁ · SAM · MIKI

ŁAMIGŁÓWKA



W ogromnym lesie wyrosło wielkie drzewo. Jeśli chcecie wiedzieć, w jakim lesie, to na koronie i na pniu drzewa wpiszcie sobie nazwy podanych niżej wyrazów. Ilość kropek odpowiada ilości liter. Przekonacie się, czy znacie las i drzewa. A więc zaczynajcie od wierzchołka:

1 — spółgłoska, 2 — drzewo liściaste, 3 — drzewo iglaste, 4 — drzewo liściaste na mokradłach, 5 — krzew orzechodajny, 6 — drzewo liściaste nie leśne, 7 — młody las, 8 — budulec dębowy, 9 — drzewko świąteczne, 10 — las liściasty, 11 — owoc dębu, 12 — ociosany pień, 13 — drzewo liściaste, sławne w piosenkach, 14 — zwierzę leśne, 15 — roślina włóknista, 16 — owad, 17 — część twarzy, 18 — mnóstwo drzew.

MĘCZYGŁÓWKA

Miki bardzo lubi przysłowia. Ale cóż? Pomieszały mu się, kiedy je sobie wypisał i teraz nie może sobie dać rady. Pomóżcie mu i uporządkujcie, bo nikt go nie rozumie, kiedy odzywa się tak:

Jaki pan — tak Bóg Kubie.
Dwa razy daje — duże rzeczy traci.
Jak Kuba Bogu — tak się wyśpisz.
Nie mów hop, aż rosa oczy wyje.
Nim tłusty schudnie — przeskoczysz.
Jak sobie pościelesz — taki kram.
Lepiej późno, niż gołąb na ręku.
Skąpy, kto prędko daje.
Nim słońce wzejdzie — chudy zdechnie.
Kruk krukowi ponieśli i wilka.
Lepszy wróbel w ręku niż nigdy.
Nosił wilk razy kilka — oka nie wykole.

ZAGADKA 1

Szczotkę ma na całym ciele
i lubi błotne kąpiele.
Czyścić się — zdrowo,
kąpać się — zdrowo,
a on wciąż chodzi
brudny jednakowo.

ZAGADKA 2

Biała pani gęga,
dziobem w wodę sięga.

REBUS 1



ZAGADKA 3

Przed olejem litera
ludzi w podróż zabiera.

DOBRE ROZWIĄZANIA NADESŁALI:

Edward Hodowany z Sokala (rysunek bardzo ciekawy), **Andrzej Glass** z Warszawy, **Lili Blausztein** z Łodzi, **Bogusława Wojnar** z Warszawy (bardzo ładnie piszesz na maszynie), **Zosia Muszkatblat, Henryk Bobotek, A. Szymański, H. Bromirska, Krzyś Majewski, Sławomira Bulzacka** z Warszawy, **Tosia Rosochowiczówna** z Bydgoszczy i **K. Wymysłowski** z Łodzi.

ROZWIĄZANIE Z N-RU 8

Bilety wizytowe: powieściopisarz, adwokat, ekspedientka, dziennikarz

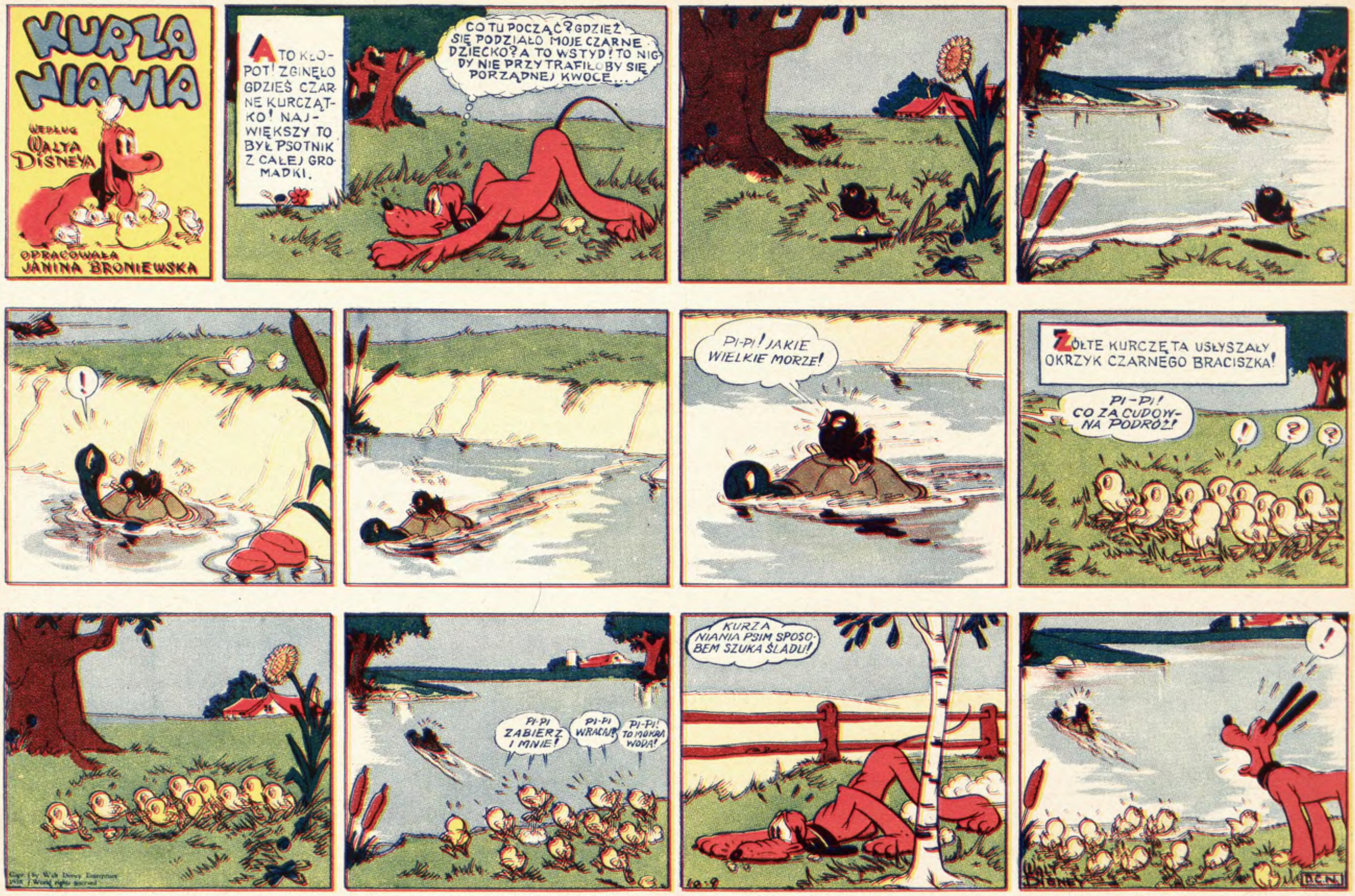
Szarady: 1. karabiny, 2. stonogi, 3. niepogoda.

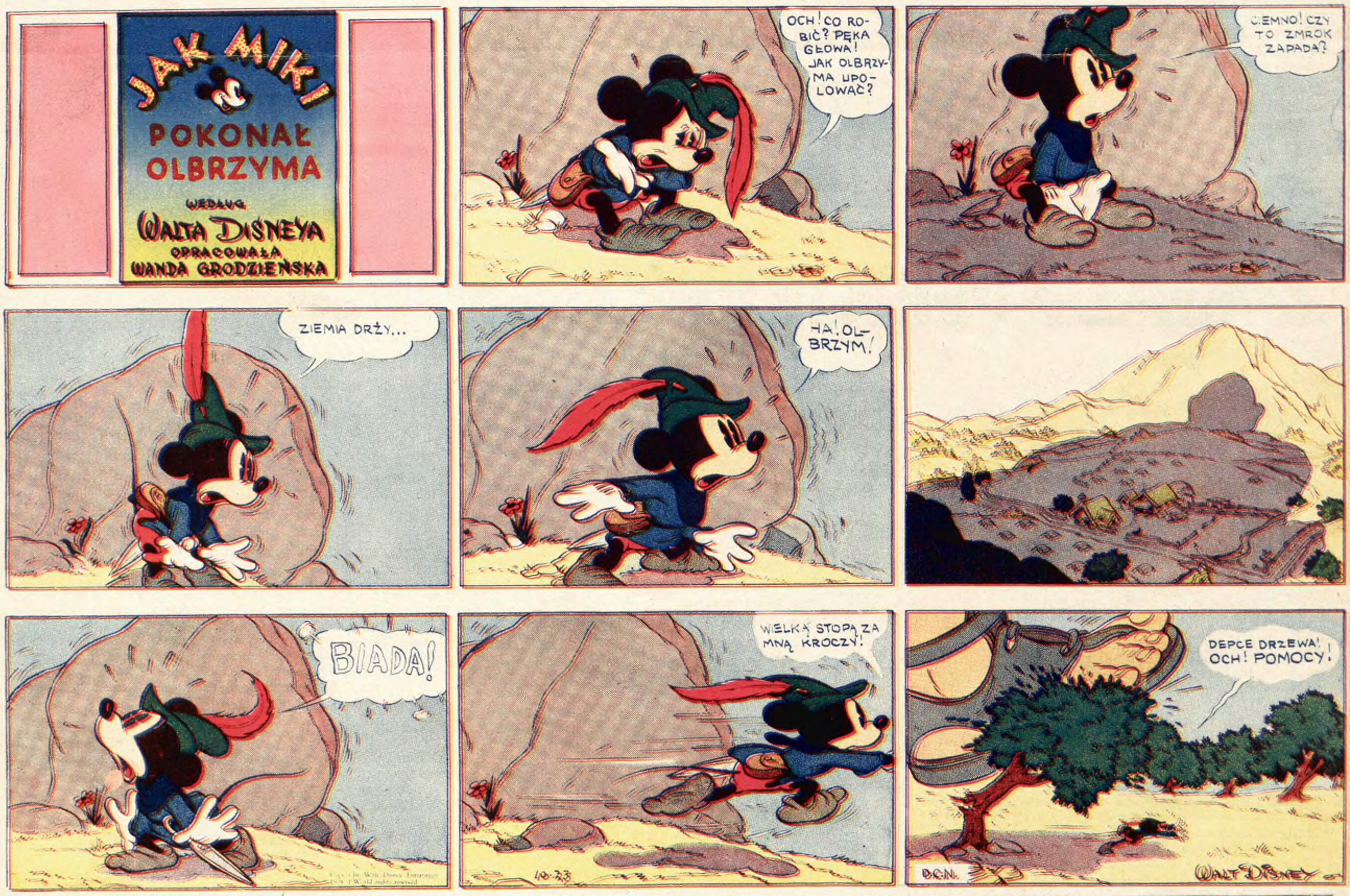
Zagadki: 1. bibuła, 2. narty, 3. żaba, 4. tablica.

Rebus: narciarz.

REBUS 2







Wydawca: Wydawnictwo »Gazetka Miki« — Sp. z o. o.
Redaktor: Aleksandra Bończa-Waśniewska.
Redakcja i administracja: Warszawa, Jasna 18/20 m. 17. Tel. 529-64. Konto P. K. O.: 3666. Konto rozrachunkowe 368.
Redakcja czynna codziennie od g. 12—13. Administracja czynna od 10—19. Przekaz rozrachunkowy 368.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 1·50 zł wraz z przesyłką, cena pojed. numeru 40 gr. — Do nabycia w księgarniach i w kioskach »Ruchu«. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.